

Miał być grand spectacle, ale z „Frankensteina” w Teatrze Syrena wyszła banalna opowieść o wykluczeniu, ośmieszona bezradnością świetnych przecież aktorów

Jacek Wakar, Polskie Radio

**W** programie czytam, że sztuka Nicka Deara, który zaadaptował klasyczną powieść Mary Shelley, przebojem zdobyła

Londyn, gdzie przedstawienie na jej podstawie wyreżyserował sam Danny Boyle. Nie wiem, co zrobił z tym tekstem autor „Train-spotting”, a może to Bogusław Linda zdecydował się na daleko idące skróty. Nicka Deara znamy w Polsce z dość udanej „Władzy”, przygotowanej przed laty w Narodowym przez Jana Englerta. Tym razem – przynajmniej sądząc po inscenizacji w Syrenie – mamy do czynienia z dramaturgiczną hybrydą, ni scenariuszem filmowym, ni partyturą dla spektaklu. Postaci pojawiają się i znikają bez psychologicznego i fabularnego uzasadnienia, trupy ożywają, by i tak przepaść jak sen złoty. Potwór Eryka Lubosa najpierw mozolnie, chyba przez kilkanaście minut, rodzi się w bólach, potem bełkocze coś z trudem, nie rozumiejąc ludzkiej mowy. Tymczasem już za chwilę przemawia pełnymi zdaniem, po czym przechodzi do filozoficznych sentencji. Doprawdy błyskawiczna metamorfoza.

Mary Shelley opublikowała swą najważniejszą powieść w roku 1818. W warszawskim spektaklu respektuje się historyczny kostium, choć trudno mówić o przywiązaniu do konkretnego czasu. To rozumiem. Trudno mi jednak pojąć, czemu służą wplatane w tekst co jakiś czas mocne słowa. Oto młodzi idą na pole, potem wracają do ociemniałego ojca (Jerzy Radziwiłowicz) i widzą, jak wprowadza w życie Potwora. I rzucają mięsem aż miło. Efekt jest groteskowy. Tyle że nie wiem, czy to wątpliwa

# Wydmuszka z „Frankensteina”



Potwora zagrał w spektaklu Eryk Lubos

KRZYSZTOF BIELIŃSKI

zasługa twórcy dramatu, czy reżysera szukającego sposobów na jego uatrakcyjnienie.

„Frankenstein” w Teatrze Syrena ma bowiem olbrzymie ambicje. Chce być wystawnym widowiskiem, wspartym monumentalną scenografią Jagny Janickiej, powielającą standardowe rozwiązania choreografią Jarosława Stańka oraz muzyką Michała Lorenca. Mam do Janickiej i Stańka pretensje o ich dzieła, ale to kompozycje Lorenca stanowią istne kuriozum. Toż to prawdziwy szkic do symfonii patetycznej, za to w najgorszym guście. Nieustannie uderza w najwyższe tony, próbuje natrętnie budować nastrój widowiska. Wtrąca się w akcję, wybucha w zbyt długich wyciemnieniach. Domyślam się, że Linda i Lorenc w dyskusjach przed premierą doszli do wniosku, że „Frankenstein” to utwór ważny i poważny – ich święte prawo. Szkoda tylko, że zapomnieli, iż wszelka przesada to niezawodna droga do samoosmieszenia, a odrobina dystansu przydaje się nawet najistotniejszym dziełom w dziejach.

Ma być ten spektakl opowieścią o wykluczeniu i wykluczonych, co grany przez

Lubosa Potwór formułuje wprost ze sceny w czymś na kształt manifestu. Tyle że autorom nie udało się wyjść poza banalną, choć słuszną konstatację o tym, że każdy ma prawo do inności i należy mu się godność. Potwór Lubosa niby jest dziki i pierwotny w swych odruchach, eksponuje pokrwawione, pokryte szramami ciało, unosi wzrok ku górze i toczy wokół oszalałym spojrzeniem. Potem zaś łagodnieje, stając się nawet odrobinę liryczny, co pokazuje Lubos w sposób mniej oczywisty. Gdyby tak ni inscenizacji stanowiło zestawienie monstrum i jego twórcy Victora Frankensteina (bezbarwny Wojciech Zieliński) jako ciemnej i jasnej strony tej samej osobowości, zapewne byłoby ciekawiej. A tak obaj istnieją obok siebie, niewiele mając wspólnego. Nieznosnie koturnowa jest rola Tomasza Sapryka (monsieur Frankenstein), która udowadnia, że nawet najlepszy aktor polegnie bez pomocy reżysera. Katarzyna Zawadzka jako Elizabeth wygląda pięknie, ale aktorsko nie wychodzi poza sztampę zranionej kochanki. Broni się Jerzy Radziwiłowicz w krótkim

epizodzie De Lacey, ale szczególnie chwalić wielkiego aktora za tak nieskomplikowaną robotę, mając w pamięci jego inne dokonania, byłoby grubym nietaktem.

Na tle gościnnie zaangażowanych gwiazd nieźle wypadają występujący w mniejszych partiach aktorzy z Litewskiej – Dorota Gorjainow, Karolina Michalik, Katarzyna Bagniewska, Piotr Siejka czy Patryk Pietrzak – wnoszą na scenę naturalność, w kąpiącym sztucznością przedstawieniu na wagę złota.

Cenię Bogusława Lindę przede wszystkim za znakomity „Tramwaj zwany pożądaniem” w Ateneum. Tam jednak ograniczył inscenizacyjne triki, stawiając na aktorów. W Syrenie zaś poszedł na całość. W nietanym spektaklu mamy efekty, projekcje, sztuczny śnieg i inne atrakcje. Nie mamy tylko prawdziwego dramatu, o grozie nie wspominając. Nie sądzę, by inwestycja we „Frankensteina” Syrenie się zwróciła. ©P

„Frankenstein” Nicka Deara | reżyseria: Bogusław Linda | Teatr Syrena w Warszawie ●